

Zbigniew Nowak - portrecista miasta

Pamiętam, jak zaczęło się powstanie w getcie. Mieszkaliśmy dość blisko. To była ciepła wiosna, a ja myślałem, że śnieg pada. Wołałem: „Śnieg, śnieg, śnieg!”. A to pierze leciało, bo Żydzi pozastaniali okna pierzynami, żeby jakoś chronić się przed pociskami i te pióra latały po całej Warszawie...

Zbigniew Nowak jako dziecko obserwował Powstanie w Getcie Warszawskim, potem był świadkiem Powstania Warszawskiego i – choć wydaje się to nieprawdopodobne – przeżył też oblężenie Festung Breslau. Ponad dwadzieścia lat później został fotoreporterem „Wieczoru Wrocławia”. Jego fotografie ukazywały się w tej popularnej wrocławskiej popołudniówce od r. 1967, gdy gazeta powstała, do ostatniego numeru w r. 2004. Przez długi czas redakcyjni koledzy Zbyszka nie mieli pojęcia, że historia ich skromnego kolegi to gotowy scenariusz fascynującego filmu.

O losach małego Zbyszka decydowano w odległych miastach świata – Berlinie, Moskwie, Waszyngtonie, Jałcie czy Poczdamie.

– Urodziłem się w Poznaniu. Gdy zaczęła się wojna, miałem trzy lata – wspomina fotoreporter. – Ojciec poszedł na front, a do Krosna, gdzie wtedy zamieszkaliśmy, zaraz wkroczyli Niemcy. Wywieźli nas do Skarżyska Kamiennej, do obozu przejściowego i tam urodziła się moja siostra. O ojcu przez długi czas niewiele wiedziliśmy. Był ranny pod Bydgoszczą, a następnie został przetransportowany do szpitala w rejonie Warszawy, skąd uciekł.

W jakiś czas po powrocie z frontu Tadeusz Nowak, ojciec Zbyszka, ściągnął rodzinę do

Warszawy, gdzie założył zakład fotograficzny. Nie mogli jednak zamieszkać razem, przede wszystkim z powodu współpracy pana Nowaka z Armią Krajową. Dlatego przez pewien czas Zbyszek wiedział, że musi do taty mówić „wujku”. Niemcy przynosili prywatne zdjęcia do wywołania i mimo że zawsze pilnowali, czy polski fotograf nie robi dodatkowych odbitek, zwykle udawało mu się zrobić nadliczbowe kopie, które później trafiały do akowców. W ten sposób na przykład identyfikowano kobiety zadające się z Niemcami. Jak wiadomo, karą za takie praktyki było ogolenie głowy.

Podczas Powstania Warszawskiego Nowakowie nadal byli w Warszawie.

– Z czasu Powstania pamiętam świeczące „choinki”, którymi nocami oznaczano miejsca zrzutów – wspomina Nowak. – To dziwne, ale po jakimś czasie człowiek przywykał do bombardowań i z bitych, leżących na chodnikach... Zdjęcia taty z getta i z Powstania nie ocalały – dom, w którym były przechowywane, zniszczyła bomba. Szkoda.

Gdy Niemcy ponownie opanowali miasto, Nowakowie znaleźli się w transporcie przymusowych robotników wywożonych do Rzeszy. Pana Nowaka uratowała znajomość języka niemieckiego.



Fot. Ośrodek „Pamięć i Przyszłość”.

– Jechaliśmy przez Poznań, a brat mamy był właśnie tam kolejarem – opowiada pan Zbyszek. – Transport się zatrzymał na kilka godzin i ojcu udało się przekonać obsługę pociągu, że chce tylko odwiedzić rodzinę, więc nas puścili. Oczywiście, do transportu już nie wróciliśmy. W Poznaniu u rodziny byliśmy jakieś dwa miesiące. Ale nie można było się zameldować. Ponieważ zbierano na ochotnika ludzi do robót, ojciec zgłosił się i przewieziono nas do Wrocławia. To był listopad 1944 r. Tata pracował w gospodarstwie rolnym tutaj, na Swojczycach. W 1945 roku, kiedy wojna już prawie się kończyła, Niemcy chcieli go zmusić, żeby podpisał volkslistę. Oczywiście odmówił. Na szczęście mieliśmy jeszcze pieniądze z Warszawy, które ojciec zarobił jako fotograf – dość dużo – to nas uratowało. Niemcy bardzo chętnie przyjmowali pieniądze. Ja się troszkę poduczylem tutaj niemieckiego i zawsze chodziłem po zakupy przy ul. Swojczyckiej do piekarza lub z kanką po piwo do pobliskiej knajpy.

W styczniu 1945 r. we Wrocławiu przebywało ponad milion ludzi – oprócz stałych mieszkańców, uciekinierzy ze wschodu i z zachodu, robotnicy przymusowi, powstańcy z Warszawy. Do jesieni 1944 r. na Wrocław nie spadła ani jedna bomba, jednak nadzieja, że wojna ominie miasto okazała

się płonna. Obłądny plan Hitlera, aby na drodze Armii Czerwonej znalazły się twierdze, bronione za wszelką cenę, znalazł sumiennego wykonawcę. Gauleiter Karl Hanke, realizujący wytyczne Hitlera, by za wszelką cenę bronić miast twierdz znajdujących się na drodze Armii Czerwonej, początkowo wstrzymywał ewakuację mieszkańców, przerażonych zbliżaniem się wojsk radzieckich do Wrocławia. Na opuszczenie miasta przez cywilów zgodził się dopiero na przełomie stycznia i lutego, gdy mrozy sięgnęły minus 20 stopni.

Tłum uchodźców ruszył na zachód, ciągnąc wózki z dobytkiem. Podczas upornej wędrówki między Wrocławiem a Legnicą zmarzło 90 tysięcy cywilów. Szczątki ludzi i zwierząt leżały wzdłuż drogi. Nowakowie znaleźli się w środku tego mroźnego piekła. Pieszono doszli do Sudetów, potem różnymi środkami transportu dotarli do Erfurtu.

Po wojnie przyjechali do Poznania, ale Tadeusz Nowak stwierdził: „Jedziemy do Wrocławia, bo upatrzyłem sobie domek, gdy byliśmy tam za pierwszym razem”. Po miesiącu przyjechali po rodzinę i osiedlili się w domu przy ul. Ceglanej na wrocławskich Swojczycach. Początkowo mieszkali razem z dotychczasowymi gospodarzami – Niemcami. Większość Polaków, którzy te

tereny zajmowali, pochodziła ze Wschodu, przeważnie z okolic Lwowa i Dublin. Tadeusz Nowak był nauczycielem i założył na Swojczycach jedną z pierwszych szkół w powojennym Wrocławiu. Miała numer 7.

– Byłem więc jednym z pierwszych – wspomina Zbyszek Nowak. – Mostów nie było, bo zostały wysadzone. Chodziło się po kładkach. Na przykład ten most z Sępolna na Swojczyce to była taka kładka. I pamiętam, że przez długi czas na tej kładce wisiał zabity żołnierz niemiecki. Nikt go nie ściągał...

Jeszcze wiele tygodni po zakończeniu działań wojennych nocami w okolicy trwały strzelaniny, niemal każdy miał broń. Ze zdobyciem amunicji też nie było problemów.

– Pamiętam, że z kolegą, który mieszkał niedaleko, rozbrajaliśmy pociski, robiliśmy z nich rakiety. Gdy jedna odpaliła, dostałem łuską w kolano – mówi, wzdychając. – Byliśmy dziećmi, które nie zdawały sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Wiele razy dostawałem od ojca w skórę za takie zabawy. W pobliskiej cegielni znaleźliśmy karabin maszynowy. W zimie strzelaliśmy do kuropatw, które tam były koło cegielni. Wokół była masa amunicji. Czasem to z takiej kuropatwy nic nie zostawało. Dużo ludzi tutaj zginęło na minach. W większości to byli rolnicy, którzy zaczynali uprawiać ziemię. Ponieważ było dużo granatów, to na ryby chodziliśmy nie z wędką, tylko z granatami. Ogłuszało się te ryby, a były naprawdę okazałe. Byli też, oczywiście, jeszcze Rosjanie. Rosjanie gwałcili dziewczyny. Przez pewien czas przychodziły do nas nocować trzy młode Niemki. Ponieważ byliśmy Polakami, czuły się u nas bezpiecznie. Na noc trzeba było zastawiać okna blachami, bo kule świstały dosłownie naokoło. Później zaczęło się uspokajać, napływało coraz więcej ludzi. Ojciec zorganizował pierwszą „parafię” na Swojczycach. Ksiądz przyjeżdżał z Sępolna i w jednej ze szkolnych sal odprawiał mszę. Pamiętam pierwszy tramwaj. Pierwszy raz przejechałem chyba z Sępolna do dworca Wrocław Nadodrze. To było coś!

Zbyszek Nowak pod kierunkiem ojca zaczął robić pierwsze fotografie, potem ukończył technikum fotograficzne. Miał bardzo dobry aparat – Leicę. Ma go do dzisiaj. Kiedyś oferowano mu za

niego nowy model Leici, ale nie chciał rozstać się z cenną pamiątką. Pracował w drukarni, potem ukończył studia – geografię ze specjalnością kartografa i chciał wrócić do pracy w drukarni.

– Ale do drukarni już mnie nie chciano przyjmą. Chyba się bali ci dyrektorzy z awansu, że mając wyższe wykształcenie, mogą zająć ich miejsce – śmieje się Zbyszek.

Zaczął pracować jako nauczyciel geografii w Liceum Ekonomicznym przy ul. Worcella. Wygrał konkurs ogłoszony przez właśnie powstały „Wieczór Wrocławia” – jego zdjęcia tak się podobały, że przyjęto go do pracy jako fotografa. Jednocześnie jednak kontynuował pracę w szkole.

Przez pewien czas pracowałem w „Wieczorze Wrocławia” i wtedy poznałem Zbyszka. Zawsze dopisywał mu dobry humor. Spokojny, grzeczny, zupełnie inny od redakcyjnych gwiazd fotoreportażu – „co mam jechać na drugi koniec miasta, żeby pstryknąć jedno zdjęcie za 7 złotych?”, Zbyszek nie odmawiał, fotografował zawody sportowe, z których zdjęcie nie zawsze przebiło się do druku, kolejki, przeprowadzki, awarie wodociągów, korki komunikacyjne, prace drogowe, ruch uliczny. Te zwykłe fotografie doskonale opisują codzienne życie miasta. Tysiące wizerunków wrocławian w ich miejscach pracy, doroczne wręczanie nagród racjonalizatorów, wrocławskie święto kwiatów, zwykłe codzienne sytuacje – naprawa samochodu, który odmówił posłuszeństwa na którymś z wrocławskich skrzyżowań, matki z pociechami przy parkowych piaskownikach, obowiązkowe coroczne serie fotografii wiosennego kwiecia z Ogrodu Botanicznego, święta religijne i państwowe, wizyty ważnych gości. Nowak wielokrotnie wracał do tych samych motywów, obserwowanych o różnych porach roku. Na jego zdjęciach zobaczymy jak zmieniały się wrocławskie ulice, poczynając od lat sześćdziesiątych.

W PRL ludzie mediów byli pod szczególnie troskliwą obserwacją. Zbyszkowi utkwiła w pamięci wizyta w koszarach przy ul. Czajkowskiego, gdzie, podczas przysięgi podchorążych, odbieranej przez Wojciecha Jaruzelskiego, po placu biegał sobie radośnie beżowski pies. Oczywiście Zbyszek, podobnie jak inni fotoreporterzy, zadbał o to, żeby sympatyczny czworonóg znalazł



się na kadrach, na których widoczny był także sztywny, jak zawsze, generał. Jednak Ludowe Wojsko Polskie było czujne i podczas przechodzenia przez biuro przepustek fotoreporterzy musieli na żądanie politruków oddać filmy z kompromitującymi fotografiami.

– Wykręciłem film z aparatu i patrzyłem, jak wojskowy z zadowoleniem wyciąga go z kasety, naświetlając całą kliszę. Gdyby wiedział, że w kieszeni mam drugi film – chichocze z satysfakcją fotograf. – Przeczynałem, że coś takiego może się stać, więc po skończeniu zdjęć wyjąłem film z aparatu i schowałem, a w to miejsce wkręciłem nowy, pusty.

Zabawne zdjęcia ocalały. Czujność politruków jednak była całkowicie zbędna. Żadna redakcja nie wypuściłaby tak straszliwych fotografii – z jakimś psim przybłądą, płaczącym się przy generale. Photoshopa jeszcze nie było, ale w każdej redakcji były nożyczki. Fotografie z tej generalskiej wpadki

wraz z ponad 50 tysiącami innych negatywów Zbigniew Nowak przekazał do Ośrodka „„Pamięć i Przyszłość””, gdzie są digitalizowane i porządkowane. Pojawiły się już na wielu wystawach organizowanych przez Ośrodek, w publikacjach, udostępniane są też mediom i ludziom nauki.

Do legendy „Wieczoru Wrocławia” należą opowieści, jak Zbyszek wchodził na zamknięte dla innych imprezy, na które nie wpuszczano innych fotoreporterów – po prostu w wielu miejscach spotykał któregoś ze swych licznych uczniów, a oni zawsze witali go serdecznie: „Ooo, pan profesor!” i pozwalali sfotografować z bliska miejsce wypadku, niedostępną dla innych strefę zalewową czy zamkniętą dla mediów koncert.

Jedną z jego specjalności, „WW” był cykl, w którym pojawiały się zdjęcia nowożeńców, z krótkimi podpisami. Zabawną sytuację, związaną ze ślubnym serialem, przeżyłem razem ze Zbyskiem w Urzędzie Stanu Cywilnego przy



ul. Włodkowica. Od razu zwróciliśmy uwagę na ubraną na czarno pannę młodą z czarnym makijażem i bukietem róż zabarwionych na kolor smoły. Obok stał ubrany w żałobne barwy pan młody. Jego skonsternowani przyszli teściowie nie byli zbyt zadowoleni, że sprawą zainteresowały się media. W przeciwieństwie do państwa młodych, którzy chętnie opowiadali o sobie i wyjaśniali przyczynę tak niecodziennych strojów. Okazało się, że nowożeńiec jest członkiem undergroundowej kapeli „Latające odchody”, więc nie wypadało mu wystąpić w banalnej bieli... Zbyszek jednak wolał fotografować pierwszokomunijne – tam nie zdarzają aż tacy nonkonformiści.

Spokojne, wolne od sensacji, krwi czy erotyki fotografie Nowaka wzbudzają ogromne zainteresowanie podczas każdej ekspozycji. Olbrzymie powiększenia tłumów, demonstrujących podczas solidarnościowych pochodów, pojawiły się na słynnej wystawie Ośrodka „Solidarny Wrocław”.

Kilkadziesiąt innych, już nie w tak imponującej pod względem formatu wersji, znalazło się w innych miejscach na terenie ekspozycji. Fotografie te robione były w sposób tradycyjny, spokojny, bez szaleństw, eksperymentów wymiennymi obiektami, ale właśnie dzięki temu dziś przyciągają uwagę tysięcy zwiedzających. Łatwo na nich zidentyfikować miejsca, które przez lata zmieniały się wraz z całym miastem.

Zbigniew Nowak przez czterdzieści lat dokumentował codzienne życie Wrocławia. Wielu z fotografowanych przez niego budynków już nie ma – jak choćby wrocławskiego „drapacza chmur” – Poltegoru czy starej drukarni przy ul. Piotra Skargi. Jednak na niemal każdej wystawie wśród zwiedzających znajdują się osoby rozpoznające na jego zdjęciach swoje ulubione miejsca, a czasem nawet siebie, rodzinę lub znajomych.





